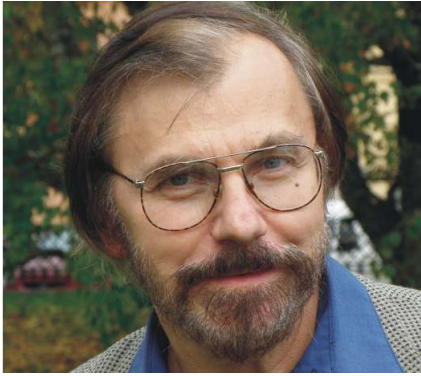


Listy do Pani A. (23)



Smutek i nadzieja

Kochana Pani!

Kiedy byłem w Pani wieku, wszystko mi się wydawało constans. Jeśli ktoś umierał, to był to ktoś z „innego” pokolenia, starszy, jakoś przez to „usprawiedliwiony” w tym, że odchodzi. Dziś dotyczy to ludzi także z mojego, a nawet młodszego pokolenia. Ci, których znałem, uważałem; nieco starsi, którzy mieli wpływ na nasz rozwój intelektualny. Mam na myśli Krzysztofa Teodora Toeplitza. Poznałem go, kiedy przychodziłem do Leszka Żulińskiego do redakcji „Wiadomości Kulturalnych”. A kiedy niesławnej pamięci minister kultury, Wnuk-Nazarowa, zamykała to jedyne w Polsce ogólnokrajowe, prestiżowe pismo, chodziłem do red. KTT, przeprowadzałem z nim wywiady w celu obrony tygodnika. Pracowałem wówczas w „Trybunie”, gdzie opublikowałem kilka tekstów właśnie w sprawie „Wiadomości”. Uroczy to był człowiek. Świetnie się z nim rozmawiało. Znałem, oczywiście, jego felietony. Jako nietypowy licealista czytywałem je w „Kulturze” w latach sześćdziesiątych. Piszę „nietypowy”, ponieważ dziś niezmiernie rzadko spotyka się młodych ludzi zainteresowanych kulturą. Nawet jeśli próbują swych sił w pisaniu.

Nie ma też już Stefani Grodzieńskiej, osoby o niezwykłym uroku osobistym. Robiłem z nią kiedyś wywiad. Zabrakło Ryszarda Matuszewskiego, z którym lubiłem rozmawiać o poezji. Pamiętam jak podczas mojego spotkania w Salonie Pisarzy Biblioteki Narodowej obrzucał się na mnie, kiedy przeczytałem wiersz „Spotkanie z noblistami”. Jest ten tekst w „Odezwie”. Może go sobie Pani przypomnieć na stronie literaci.eu.

Z początków lat sześćdziesiątych pamiętam także Wojtkę Siemioną. Widywałem go na deskach Teatru Narodowego. Potem poznałem go osobiście. Bywałem w Petrykozach, Wojtek czytał moje wiersze na różnych poetyckich koncertach. Znał niemal wszystkich poetów. Niektórzy – nawet nie proszeni – najeżdżali Petrykozy, a teraz na pogrzeb przyszło zaledwie kilku literatów. No tak, Wojtek już nie jest im potrzebny. Takie jest życie... Na pogrzebie przemawiał Marek Wawrzekiewicz. Piękne przemówienie, liryczno-anegdotyczne. Lekkie, pogodne, a także wzruszające.

Zaprzężaliśmy się z Siemionem tak, jakby nie istniała pomiędzy nami dwudziestoletnia granica wieku. Uroczy, wesoły, pełen życia. Pełen życia... Czy Pani jest w stanie to pojąć? Pomiedzy nami jest dużo większa różnica, chyba dwadzieścia sześć lat. Czy to ma coś do rzeczy? I tak, i nie. W miarę upływu czasu te różnice się niwelują. Młodszy wchodzi w tę samą strefę doświadczeń, w której tkwią starsi. Zaczynamy się coraz lepiej i coraz głębiej rozumieć.

A jednak pewnych rzeczy nie sposób pojąć. Dziwny jest ten świat, w którym wykopuje się trupa, by zdobyć relikwie przed rychłą „beatyfikacją”. Jeśli tak, to może woda wiślana w okolicach Włocławka nabierze niedługo nadprzyrodzonych właściwości, i będzie sprzedawana w buteleczkach na straganach przykościelnych. Och, nierozważnie to powiedziałem, po poddałem dobry pomysł biznesmenom w sutannach.

Inne zaskoczenie, to kazanie niejakiego Zbigniewa Suchego z Przemysła, który ubolewał, że samolot rządowy nie spadł w Smoleńsku kilka dni wcześniej. Dostało się też przy okazji agnostykom i ateistom. Okazało się, że oni są gorsi! Nie mogą więc sprawować władzy w katolickim kraju, teraz trzeba dać im odpór. Gadka obliczona na głupotę i naiwność „maluczkich”, których na szczęście jest coraz mniej. Obrzydliwe kazanie. Trzeba być kanalią, albo idiotą, a właściwie jednym i drugim (co często zdarza się katabasom), by gadać takie rzeczy.

Ale nie tylko katabasom. Pomysł, by stawiać pomnik Lecha Kaczyńskiego koło pałacu Radziwiłłów jest tyle głupi, co koniunkturalny, w dodatku chybiony architektonicznie. No, chyba żeby go zbudować pod koniem Księcia Józefa Poniatowskiego... W innym miejscu jakakolwiek figurka, zakłócała by architektoniczny ład. Teraz ni w pięć ni w dziesięć postawiono drewniany krzyż. Ciekawe, czy przy jego usuwaniu rozpętają się awantury w obronie...

Tak już u nas jest, że ofiary wypadków lotniczych, przegrani wodzowie, to najpoważniejsi kandydaci na cokoły, na patronów ulic. Stanowią też dobry, polityczny towar dla rozmaitych kacyków. To nadajmy jeszcze takie nazwy, jak Pokonanego Żołnierza, Nieudacznego Polityka, Bezmózgiego Motocyklista, Pijanego Szofera, Samobójców. W ten sposób ocalimy Najwyższe Wartości. Jakże? A kto to wie!

Dobrze, że mogą pisać o tym do Pani. Być może się Pani na mnie oburzy, ale z biegiem lat, z biegiem dni... Zobaczy Pani to wszystko, oby nie w bardziej krzywym zwierciadle, niż ja.

Są jednak i strony jasne. W końcu lato się zbliża, słońce, zieleń, światło. I „Isabelle mon amour – czyli rzecz w sonetach o Izabeli z Poniatowskich Branickiej, hetmanowej wielkiej koronnej, siostrze królewskiej, Pani Krakowskiej na Białymstoku i nie tylko” – spisana przez Krystynę Konecką w formie sonetów. Piękna książka. Nie tylko pod względem edytorskim, ale urzekająca kunsztem poetyckim oraz ogromną erudycją historyczną. Opowiadała mi Krysia kiedyś, ile to wymagało lektur, studiów, podróży. Ale wyszło niekwestionowane dzieło. Nie przesadzam! Czyta się świetnie plastycznie wyborną opowieść, napisaną niezwykle naczynem. Można długo smakować i delektować się urzekającą poetycką frazą. Krysia jest mistrzynią sonetu, chyba jedyną taką w Polsce. Choć używa tej formy, w jej wierszach nie ma nic anachronicznego. Są to jak najbardziej współczesne wiersze. Gdyby sytuacja literatury była normalna; gdyby funkcjonowała prawdziwa, obiektywna krytyka literacka, nie płytkie dziennikarstwo, to Krysia należałaby do najwybitniejszych poetek polskich. I tak do nich należy, a my o tym wiemy. Niestety, czelniczy nie za bardzo. Musi Pani to koniecznie przeczytać, choćby ze względu na możliwość koligacji.

Książka zawiera także bardzo dużo fotografii oraz reprodukcji obrazów, a także wersje w języku angielskim. Świetna rzecz. Ręczę, że to wydarzenie w naszym życiu literackim oraz na rynku wydawniczym. Tylko kogo to obchodzi? Jesteśmy obojętni jako pisarze niemal wszystkim, od ministra kultury po „dziennikarzy” nastawionych wyłącznie na komercyjne skandale. Wierzę, że tamta sieczka zniknie, Krystyna Konecka zostanie w literaturze.

Małej Joasi bardzo się wiersze Krysi podobają, i sama książka „Isabelle mon amour”...

Pani A, mon amour...

Wróciłem właśnie ze spotkania z Romanem Śliwonikiem. Nostalgiczne, pełne wspomnień, wierszy, przecucia odchodzenia, ale i nadziei. Bardzo liryczna, miła atmosfera. Biedny Romek na wózku, z respiratorem, z niedowładem ręki, złamaną nogą. Ale trzyma się nieźle, mówił dowcipnie i wzruszająco. Jerzy Kryszak czytał wiersze dawne i nowe, świetnie to zrobił, a Rysiek Ulicki śpiewał z gitarą balladę o Romku, a potem „Kolorowe jarmarki”. Taki liryczno-rozliczeniowy, wspomnieniowy wieczór. Całość prowadził Lech Śliwonik. Marek Wawrzekiewicz. Jak zwykle dowcipnie i lekko, a jednocześnie głęboko, mówił o poecie, o swojej z nim przyjaźni, o sposobie na życie, jaki stanowi dla Romka poezja.

Nawet nie wiedziałem, że Romek tak ucieszy się, kiedy mnie zobaczy. Poczytuję sobie za zaszczyt, że ten wielki poeta ceni moje pisanie, że mnie zauważa. To bardzo podbudowuje, zwłaszcza, że – jak Pani wie – moja samoocena nie jest zbyt wysoka, tyle mnie trapi zwątpień i niepewności.

Byli między innymi Kabatowie, Gnarowscy, Ela Musiał, Andrzej Żor, Grzegorz Walczak, Marysia Ulicka. Sala była pełna. Wszystko odbyło się w Galerii Apteka Sztuki. Wydawało mi się, że czuję na sobie Pani spojrzenie...

Nie wiem, dlaczego wszędzie Panią widzę. Ostatnio na targach Książki w Pałacu Kultury. Przez cztery dni siedziałem tam na dyżurach, i w nadziei, że podpiszę „Pod każdym słońcem”. Ludzie się snuli, oglądali, ale do kupowania byli ostatni. Chyba pięć egzemplarzy podpisałem, dwa dałem kolegom.

Niektórzy zwiedzający Targi wyglądają tak, jakby nie rozumieli, co to znaczy czytanie. Przypominają mi psy – pokaż mu książkę, a on obwącha i pójdzie. To nie tylko dotyczyło naszego stoiska. Rozmawiałem z innymi wystawcami. Mieli identyczne spostrzeżenia.

Co zaś do lektur, to my z Andrzejem Dębkowskim lubimy – rzecz jasna – książki papierowe, ale również jesteśmy admiratorami dzieł w płynie...

Cały ostatni dzień Targów – to była niedziela – spędziłem w miłym towarzystwie Aldony Borowicz. Była to swoista rekompensata za trudy, które ponieśliśmy likwidując stoisko ZLP, znosząc ciężkie torby z książkami w ulewnym deszczu do mojego samochodu. Andrzej Tchórzewski, chory na serce, więc nie mógł nosić, pilnował zwiezionego towaru, a my z Aldoną mającą problemy z kręgosłupem, ładowaliśmy wszystko do bagażnika. Potem trzeba było zanościć to wszystko do Związku na pierwsze piętro. Nikt nam nie pomagał, choć w Oddziale mamy kilku młodych byków.

I właśnie siedząc przy stoisku wydawało mi się, że Pani przechodzi, dyskretnie, tajemniczo, jakby nie chciała zostać przeze mnie zauważona. Może to i dobrze, może to bardziej ekscytujące? Wszystko jeszcze przed nami. W niedzielę jednak zwałpiłem w Pani obecność, bo padał taki deszcz, że tylko ja mógłbym wypaść z domu jak burza, gdybym wiedział, że zobaczę Panią... Z innych powodów – nie. No, może jeszcze gdybym miał dostać kilka tysięcy dolarów...

Tymczasem jedno i drugie jest dosyć iluzoryczne, zwłaszcza to drugie... I tym optymistycznym akcentem kończę ten list, może smutny ale też pełen nadziei.

Pozdrawiam Panią, bardzo serdecznie –

STEFAN JURKOWSKI

